

Zastanawiałem się, jaki nadać tytuł tej recenzji z wydarzeń muzycznych w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu. 17 czerwca upłynął w zasłonach drobnego i bardzo intensywnego deszczu. Widziane z siodełka roweru błyszczące od wody wrocławskie bruki zawsze mają swój specyficzny urok, ale jednak tym razem przypominały też o tym, że za trzy – cztery dni na scenę czasu wkracza lato.

Przybycie lata oznacza też koniec sezonu i dwumiesięczny głód koncertowy. Dlatego czerwcowe koncerty mają w sobie moc tworzenia wspomnień i wrażeń, które będą trwały z nami aż do muzycznego otwarcia sezonu we wrześniu. We Wrocławiu tym otwarciem będzie oczywiście Wratislavia Cantans, a bardziej szczegółowo – Powrót Ulissesa do ojczyzny Claudio Monteverdiego pod batutą Gardinera. Trudno o lepszego kompozytora, o lepszą operę i lepsze jej wykonanie. Aż by się chciało, aby lato przemknęło niczym sen i zatrzymało się na początku września. Oczywiście jest kilka innych powodów, które sprawiają, iż chciałbym jednak, aby lato trwało i trwało...

Na szczęście NFM Orkiestra Leopoldinum zadbała o to, abyśmy mieli latem co wspominać. Koncert zaczął się od Brook Green Suite H. 190 Gustava Holsta (1874–1934). Świat muzyczny Holsta jest niezwykły – spotykamy w nim sławne Planety, ale też najstarsze indyjskie hymny wedyjskie przyodziane w szatę rewelacyjnej muzyki chóralnej, zadziwiającej swoją oryginalnością. Holst niestety należy do grona kompozytorów, których twórczość zbyt często bywa sprowadzana do jednego dzieła, w tym wypadku Planet.

Brook Green Suite należy do względnie często wykonywanych dzieł Holsta. Powstała dla szkoły nie muzycznej, która jednak ma jednak kilka zespołów muzycznych. Chodzi o Szkołę św. Pawła w dzielnicy Brook Green. Utwór grały dziewczęta z tej szkoły, Holst zadbał zaś o to, aby był on prosty i jednocześnie wyrafinowany. To krótkie dzieło składało się z trzech części.

Pierwsza i ostatnia wyrażała niezwykłą poetykę późnych dzieł Holsta. Nastrój tych części był bardzo nawet pogodny jak na muzykę brytyjską, natomiast faktura brzmieniowa i sposób używania barw zespołu ewokował jakąś podskórną tajemniczość. Część środkowa działa oparta była na ludowej bądź późnośredniowiecznej melodii, zaś jej przekształcenia były bardzo zręczne i pełne dobrego smaku. Orkiestra Leopoldinum grała ten niedługi utwór znakomicie – barwy były pełne i nasycone, gra orkiestry bardzo precyzyjna.

Nie tylko to dzieło, ale i całość koncertu prowadził Philip Ellis mający już na swoim koncie współpracę ze znakomitymi zespołami i kilka płyt dla poważnych firm, takich jak BMG czy EMI (obecnie to Warner). Philip Ellis niemal 20 lat pełnił funkcję II dyrygenta sławnej i bardzo pracowitej English Sinfonia Orchestra. W tym czasie poprowadził ponad 400 koncertów w znanych salach koncertowych Londynu i nie tylko. Krótko mówiąc, doświadczenie dyrygenta bardzo pozytywnie spotkało się z doświadczeniem muzyków Leopoldinum i przyniosło owoce precyzji dźwięku, subtelności zmian dynamicznych, pięknego malarstwa dźwiękowego.

Następny utwór wymagał altowiolisty i oto mieliśmy przed sobą Przemysława Pujanka, wywodzącego się z poznańskiej Szkoły Talentów. Pujanek studiował też między innymi na berlińskim Universität der Künste w klasie altówki H. Rohdego. Studia te ukończył z wyróżnieniem w 2014 roku. Teraz zaś realizuje tam studia podyplomowe, które dodaje do swojej przebiegającej z dużym powodzeniem aktywności muzycznej. Berliński mistrz Pujanka Hartmut Rohde, jest też dyrektorem artystycznym Orkiestry Leopoldinum i jednym z najznakomitszych na świecie mistrzów altówki. Tak na marginesie – od września 2017 roku nowym dyrektorem artystycznym Leopoldinum zostanie Joseph Swensen

W wykonaniu Pujanka usłyszeliśmy Muzykę kameralną na altówkę, klawesyn i smyczki Edisona Denisova (1929–1996). Utwór powstał na początku lat osiemdziesiątych, kiedy w ZSRR nadal wymagano

od kompozytorów estetyki neoklasycyzmu. Tym czasem Denisov odważnie szedł w inną stronę, wychodząc poza tonalność na swój własny, niepowtarzalny sposób. Z uwagi na bardzo autorski, zbuntowany język muzyczny Denisova nie byłem zresztą w stanie ocenić przez pierwsze kilka minut, jak dobrze gra Przemysław Pujanek. Altówce towarzyszyła orkiestra nie grająca w stylu serialnym czy dodekafonicznym, ale nie będąca też posłuszną kluczowi harmonicznemu. W trakcie utworu jednak uczyłem się ekscentrycznego języka muzycznego Edisona Denisova i coraz bardziej zachwycałem się pełnym brzmieniem altówki Pujanka i jego rewelacyjną wirtuozerią. Szybkie biegniki, dźwięki z górnej części skali altówki ani trochę nie ustępowały wielu świetnym wirtuozom skrzypiec, zaś Denisov grał też potężne dźwięki basowe, których siłą rzeczy skrzypek nie ma do swej dyspozycji. Sam utwór miał w sobie coś z ciekawości odkrywania świata, z podróży przez niezbadany czas. Słychać w tym było naukowe dziedzictwo, które Denisov wyniósł z domu, wraz z imieniem Edisona. Partia klawesynu miała w dziele Denisova inny charakter niż gęsta, niewolna od romantyzmu partia altówki. Realizowała ją świetna jak zwykle Marta Niedźwiecka. Klawesyn łączył bardzo skutecznie eksperymenty Denisova w partii orkiestry i rozległą melodykę altówki.



Kolejnym dziełem był Koncert na wiolonczelę G-dur G 480 Luigiego Boccheriniego (1743–1805). Tym razem na scenę wkroczyła piękna młoda Holenderka – Ella van Poucke, trzymając w rękach wspaniałą amsterdamską wiolonczelę P. Romboutsa, otrzymaną od anonimowego darczyńcy. Dzieło Boccheriniego powstało na początku lat 70 XVIII wieku i było bardzo wirtuozerskie. Van Poucke grała pięknym, pełnym tonem, całkowicie bezbłędnie i perfekcyjnie przedzierając się przez wzburzoną partię wiolonczeli. Jej dźwięk był też śpiewny i mocny, nie zaś pomrukliwy i ginący w ciszy, co zdarza się wielu znanym nawet wiolonczelistom. Urzekła mnie też niebywała, wręcz nieco ekscentryczna elegancja kończenia fraz, której chyba nie zawdzięczaliśmy w tym wypadku tylko Boccheriniemu. Słysząc było, że mamy do czynienia z mistrzynią swojego instrumentu, o której jeszcze wiele usłyszymy w przyszłości (i której jeszcze wiele usłyszymy w przyszłości!). Stąd wziął się tytuł tej mojej recenzji – wiosna się kończy, ale też się zaczyna dzięki tak świetnym młodym wirtuozom jak

Przemysław Pujanek i Elle van Poucke. Ta inna wiosna to oczywiście rozkwitająca przyszłość wykonawstwa muzyki klasycznej. W tym koncercie Boccheriniego solowej wiolonczeli jak cień towarzyszyły skrzypce koncertmistrza i tu wielkie brawa należą się koncertmistrzowi Orkiestry Leopoldinum, Christianowi Danowiczowi.



Po przerwie usłyszeliśmy natchnione arcydzieło Ryszarda Straussa, jakim są jego Metamorfozy, swoisty tren żałobny na orkiestrę smyczkową, powstały w końcowym okresie życia kompozytora, jak i pod koniec II Wojny Światowej, kiedy z jednej strony nazizm odchodził w cień, z drugiej strony zaś cała kultura niemiecka leżała w ruinach, z których wiele pięknych rzeczy już chyba nigdy nie odrosło. Metamorfozy to pogrzeb wielkiej niemieckiej tradycji romantycznej, która muzycznie zdominowała okres rewolucji przemysłowej, ale też potrafiła niszczyć, tworząc niebezpieczne definicje losu, ducha dziejów, czy nietzscheańskiego nadczłowieka. W 2017 roku można jednak stwierdzić, że Niemcy grzebiąc całkiem tamtą

tradycję i zastępując ją zupełnie nową kulturą wylały dziecko z kąpielą. Stąd być może pewna pustka obecna w społeczeństwie niemieckim, którą tak znakomicie opisał Bergman w swoim niemieckim okresie tworzenia filmów. O wspomnianym kryzysie nie mówi moim zdaniem świetna skądinąd niemiecka muzyka współczesna, na której czele postawiłbym nieodżałowanego Stockhausena, ale choćby "opera reżyserska" "Regieoper" zmuszająca czasem do zamykania mocno oczu na wystawieniach dzieł Mozarta czy Wagnera.

W Metamorfozach słyszymy dekonstrukcję tematów z Eroici Beethovena, którą uważa się za wrota do muzyki romantycznej. Orkiestra NFM Leopoldinum zagrała ten wspaniały i trudny utwór (nazwany przez kompozytora „studium na instrumenty solowe”) rewelacyjnie. Metamorfozy długo jeszcze rozbrzmiewały w moich myślach, gdy wracałem wśród wieczornych szarości do domu oblężonego przez biegaczy z wielkiego maratonu miejskiego. Nie wiem, czy Metamorfozy to dobra muzyka do biegania, ale do jazdy na rowerze w deszczowy dzień późnej wiosny z pewnością.